

# **Wszyscy muszą odejść**

Jan Sowa

Trudno o bardziej namacalny i widoczny dowód na zwiększającą się niesprawiedliwość kapitalistycznego porządku i – co za tym idzie – jego coraz większą delegitymizację niż rosnąca w zastraszającym tempie maszyneria opresji i kontroli, która musi go chronić. Mylą się te, które uważają, że władza dyscyplinarna zanika i zastępują ją kapilarne procedury mikro-władzy. Takie mogło być złudzenie kilku „chwalebnych dekad” po drugiej wojnie światowej, kiedy społeczeństwa globalnej Północy zdawały się nieodwracalnie zmierzać w kierunku zaniku twardych form represji i terroru.

Oczywiście, złudzeniu temu nigdy nie poddali się mieszkańcy globalnego południa – świata (post)kolonialnego, peryferyjnego, rozwijającego się, czy jakkolwiek chcielibyśmy nazywać tych, którzy zostali zintegrowani z rozwojem kapitalizmu, zajmując pozycję globalnego proletariatu i doświadczając przez to „rozwoju niedorozwoju”, jak zacołanie nazywają teoretycy zależności. Oni nigdy nie mieli złudzeń, że warunkiem *sine qua non* działalności kapitalistycznych kupców, przedsiębiorców i bankierów jest stojący za nimi policjant z pałką i żołnierz z karabinem. Dopiero teraz prawda ta zaczyna docierać do nas i to nie pod postacią antysystemowych oskarżeń i antykapitalistycznych tyrad, które łatwo zbyć jako wyraz ideologicznego zaciętrzewienia (oczywiście, neoliberalny dogmatyzm ekspertów z Centrum im. Adama Smitha nigdy tak nazywany nie bywa), ale jako naoczność, której zanegować już nie sposób.

Gdy pierwszy raz przyjechałem do Nowego Jorku w lecie 2001 roku, Wall Street niczym nie różniła się od jakiegokolwiek innej ulicy Dolnego Manhattanu. Pod Giełdą przewalały się tłumy turystów, a do i z jej budynku wchodził oraz wychodził właściwie każdy, kto chciał. Chodnik naprzeciw i po bokach zastawiony był obwoźnymi budkami z hotdogami i kramami z pamiątkami dla turystów. Dzisiaj Wall Street przypomina – jak powiedział mój przyjaciel mieszkający w Nowym Jorku od 25 lat – Mur Berliński. Brakuje tylko drutu kolczastego, ale cała reszta rzeczywiście przywodzi na myśl raczej atmosferę panującą na granicy między północną i południową Koreą niż to, czego można by spodziewać się w sercu rozwiniętego świata, gdzie ludzkość w wymianie towarowej praktykuje ponoć istotę swojej wolności: budki strażnicze, policjanci na koniach, barierki, progi i słupki blokujące ruch samochodów itp. Z kanałów naprzeciw giełdy wydobywa się rozgrzana para wodna, co jest widokiem charakterystycznym dla Nowego Jorku, ale w upiornych dekoracjach dzisiejszej Wall Street wygląda jak dym unoszący się z piekła.

Niespełna dwieście metrów dalej w parku Zuccottiego, który – o ironio – jeszcze niedawno nazywał się Liberty Plaza – jesteśmy my, dla których Wall Street jest synekdochą wszystkich patologii współczesnego kapitalizmu. Piszę „my”, chociaż przyjechałem tu kilka dni temu i za kilka dni wyjadę i nie mógłbym przypisać sobie nawet cienia zasług w organizacji i prowadzeniu okupacji Wall Street. Piszę jednak „my”, bo należę do 99% i tak samo jak wszyscy zebrani w Parku Zuccottiego, jestem obywatelem kapitalistycznego świata i muszę płacić – chociażby w mojej składce emerytalnej odprowadzanej do spekulujących na giełdzie funduszy, w podatkach, za które prowadzone są imperialne wojny czy w niemożliwych do policzenia kosztach niszczenia przez kapitał ekosystemu, w którym żyję – za szaleństwa i egoizm 1% „władców wszechświata”, aby zacytować określenie z wyjątkowo aktualnej powieści Toma Wolfe’a *The Bonfire of the Vanities*.

W tym sensie każda z nas, która ponosi konsekwencje kapitalistycznego barbarzyństwa i która przeciw nim protestuje tak, jak najlepiej potrafi to robić – chodząc na demonstracje, prowadząc blogi, pisząc teksty, gotując jedzenie na skłotach, kręcąc filmy, sabotując infrastrukturę materialną i niematerialną systemu czy tworząc sztukę – niezależnie od tego, gdzie mieszka, w jakim mówi języku i czym się na co dzień zajmuje jest dzisiaj Nowojorką i wyrażając swój sprzeciw wobec status quo, może przyłączyć się do okupacji Wall Street. To jest właśnie to „my”, które powinniśmy wypowiadać głośno i z dumą, przeciwstawiając je bezczelnemu „my” jednego procenta, który na różnego rodzaju forach, szczytach i medialnych debatach z rozkoszą celebruje swoją klasową tożsamość. Aby im się przeciwstawić, my również musimy stać się klasą dla siebie, czyli zacząć wreszcie mówić „my”.

Wszystko w naszym proteście jest paradoksalne. Nawet fakt, że możemy go toczyć w parku Zuccottiego tylko dlatego, że jest to przestrzeń *prywatna*, której właściciele, nie mając pojęcia, do czego to doprowadzi, udostępnili ją publiczności przez 24 godziny na dobę i trudno teraz jest znaleźć przepis pozwalający na usunięcie nas stamtąd. Gdyby był to park publiczny, byłby w nocy zamykany i wtedy policja miałaby idealny pretekst, aby zaaresztować każdą, która chciałaby tam przebywać, unikając przy tym oskarżenia, że są to bezprawne represje skierowane przeciw pokojowemu zgromadzeniu. Fakt, że coś jest powszechnie dostępne, czyli publiczne, tylko dlatego, że jest prywatne i gdyby było publiczne, zostałyby zamknięte, ilustruje w skrajny sposób absurdalność świata, w którym żyjemy.

Paradoksalne jest również przekonanie większości z nas, że zainspirowała nas Arabska Wiosna i jej metoda działania zainicjowana na kairskim placu Tahrir. Paradoksalne, bo okazuje się, że nie Zachód przyniósł demokrację światowi arabskiemu, ale właśnie świat arabski zachodowi. Po raz kolejny widać, że słynna maksyma Marksa, powtarzana również przez zwolenników teorii modernizacji od Lerner'a i Lipset'a po Fukuyamę i Sachsa, że kraj rozwinięty pokazuje rozwijającemu się jego przyszłość, została odwrócona: dzisiaj to peryferia pokazują centrum, jaka jest ich przyszłość. W sensie zarówno negatywnym – jak na przykład Polska i cały był blok sowiecki pokazująca Zachodowi, jak wygląda rzeczywistość po neoliberalnym ataku, który przeżyliśmy 20 lat temu – jak i pozytywnym, czego dowodzi przykład Arabskiej Wiosny i inspiracja, jakiej dostarczył mieszkańcom tzw. państw demokratycznych.

Paradoksem jest również, że nie mamy konkretnych postulatów. Wszystko krytykujemy, wszystko nam się nie podoba, ale nic konkretnego nie proponujemy – tak jesteśmy często postrzegani, co w dużej mierze wynika również z naszych celowych zabiegów wymierzonych w medialną i polityczną maszynę zawłaszczania oraz kooptacji (patrz tekst *Nie mamy listy żądań*).

Oczywiście, każda z nas, zapytana o konkrety, potrafiłaby jednym tchem wymienić cały szereg spraw do załatwienia, pod którymi podpisałyby się inne – koniec eksternalizacji kosztów środowiskowych rozwoju kapitalizmu, zmiana reguł dystrybucji bogactwa, koniec rządów oligarchów, czyli politycznej korupcji elit, koniec zblatowania mediów i biznesu itp. Jednak postulaty te – ani pojedynczo ani nawet ich pełna lista, jakkolwiek długa by nie była – nie stanowią istoty sprawy. Jest sprawa ważniejsza, o której głośno i wyraźnie mó-

wimy, chociaż tej części naszego przekazu nikt jakoś nie chce usłyszeć: żądamy demokracji. Ale nie demokracji parlamentarnej, nie przedstawicielstwa, nie możliwości wyrażenia raz na cztery lata przyzwolenia na to, kto będzie nami rządził i ponoć w naszym imieniu ustanawiał prawa (które jednak jakimś dziwnym trafem nie służą wcale nam). Nie chodzi o dyskusję nad wyższością ordynacji proporcjonalnej nad większościową. Nie chodzi o zmianę reguł finansowania partii politycznych. Nie chodzi o to, czy Obama jest lepszy od Busha, nie chodzi o to – jak wydaje się redaktorowi Blumsztajnowi – że w Palikocie nie do przyjęcia jest podatek liniowy, a SLD jest zbyt liberalne gospodarczo, nie chodzi o to, czy Ryszard Kalisz będzie lepszym liderem lewicy niż Napieralski czy też może właściwszym przedstawicielem uciśnionych byłby ktoś z nową twarzą jak Biedroń czy Sierakowski. Nie interesuje nas wymienianie starych na młodych, bo młodzi zaraz będą starzy i – jak zawsze kończy się to w parlamentarzystwie – gdy zdobędą upragnioną władzę, okażą się tacy sami jak starzy.

Sprawa, o którą walczymy, jest inna i najlepiej wyraża ją hasło, które prawie dekadę temu w centrum Buenos Aires wyśpiewywali Argentyńczycy rozzarowani swoimi elitami: *Que se vayan todos!* Wszyscy muszą odejść! Dlatego nie mamy żadnych postulatów skierowanych do polityków i parlamentów, nasz ruch wyrasta z praktyki politycznej partycypacji i taką też praktykę chcemy dalej stosować: domagamy się demokracji, czyli zastąpienia logiki reprezentacji logiką politycznego upodmiotowienia. Nie chcemy wybierać sprawujących władzę ani nie chcemy sięgać po władzę w istniejącym systemie. Chcemy raczej sami ustanowić się jako władza, ale władza demokratyczna, czyli samoregulacja wielości poprzez deliberację i głosowanie większościowe. Podobnie nie żądamy, aby politycy wprowadzali reformy w jakichkolwiek powyżej wspomnianych sprawach. W tym sensie nie mamy żadnych postulatów ani programów, które moglibyśmy zaprezentować istniejącym parlamentom albo w imię których chcielibyśmy prowadzić wyborcze kampanie – domagamy się prawa, aby samemu, poprzez przejrzystą partycypację, podejmować decyzję o tym, co nas dotyczy. Ci, którzy chcieliby nazwać nas radykałami i ekstremistami, powinni pamiętać, że nasza krytyka istniejącej demokracji parlamentarnej jest najbardziej lojalna krytykę, jaką można sobie wyobrazić: nie żądamy niczego ponad czy poza spełnieniem obietnic, które demokracja składa, których jednak wciąż nie może dotrzymać, osuwając się w najróżniejsze formy arystokracji i oligarchii.

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Jan Sowa  
Wszyscy muszą odejść

**[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)**